

ZAPIS PARANOI

ZDZISŁAW PIETRASIK

TADEUSZ SIEJAK jest inżynierem i pisarzem — kiedyś można by było powiedzieć: prawdziwy inżynier dusz. Zaczynał w latach siedemdziesiątych, więc dobrze zna dole i niedole owych bardzo ambitnych oficerów przemysłu z czasów, kiedy chcieliśmy wierzyć, że jesteśmy dziesiątą potęgą gospodarczą świata. Pod względem liczby inżynierów na głowę statystycznego Polaka plasowaliśmy się z pewnością jeszcze wyżej: w każdej wsi WSI a każda taka uboga Alma Mater rozdawała hojnie dyplomy upoważniające do marzeń o przebudowie rzeczywistości.

Nie jest aż tak bardzo ważne, w jakim stopniu „Oficer”, „Próba” czy ostatnia „Pustynia” oparte są na przeżyciach własnych Siejaka. Jedno jest wszakże niewątpliwe — żeby tak napisać, żeby to wszystko wiedzieć, trzeba było widzieć i to nie jeden raz — owych lokalnych dygnitarzy i ich gabinety, konferencje,

„operatywki”, narady produkcyjne itp. Cały ten rytuał pozorów z ogromnym pietyzmem odgrywany. Moim zdaniem największą zasługą Tadeusza Siejaka, pisarza, jest to, że jak nikt przed nim, potrafił zarejestrować oficjalny język lat siedemdziesiątych. Ten szczególny żargon, jakim z wielką biegłością posługiwali się „aparaczczy” różnych szczebli. Język ułomny, prostacki, ordynarny — tak wspaniale nadająca się do uprawiania „nowomowy”.

Bohaterowie książek Siejaka, ci promineneci powiatowo-wojewódzkiej rangi, dygnitarze zjednoczeń, etatowi związkowcy i młodzieżowcy mówią fatalną polszczyzną nie tylko dlatego, iż nie odebrali starannego wykształcenia: to jest kod bardzo funkcjonalny, sprzyja bowiem grupowej identyfikacji. Jeśli potrafisz mówić tak samo jak my, jesteś z nami — oto najprostszy test, kto jest z kim.

Trzy książki to już sporo, można spojrzeć na trylogię Siejaka jako na pewną całość. Akcja zawsze rozgrywa się w Polsce wojewódzkiej albo jeszcze dalej, główną postacią jest przedstawiciel tzw. inteligencji technicznej. W „Oficerze” był nim konstruktor racjonalizator, w „Próbie” wojewoda, w „Pustyni” znów jest absolwent politechniki. Wszyscy trzej kończą podobnie, czyli źle. Młodzi, przedsiębiorczy, nie im jednak dane będzie zwycięstwo.

Autor stosuje poetykę „produkcyjniaka”, żeby skompromitować pewien sposób myślenia o postępie, karierze i obywatelskich postawach, który wcale nie stracił atrakcyjności w okolicach roku 1956. Jak byśmy dzisiaj pokazali bardzo młodym człowiekowi płomienne reportaże opiewające budowę Huty Katowice i, dajmy na to, stare artykuły z serii „o Nowej to Hucie piosenka”, to nie jestem pewien, czy taki mało doświadczony czytelnik potrafiłby wskazać, co z jakiej epoki pochodzi. Bo to był w gruncie rzeczy ten sam kanon: budowanie symbolem postępu, każdy komin sztafardem awansu cywilizacyjnego miast i wsi (rachunek zysków i strat nie obowiązywał, słowo ekologia nie było w użyciu). Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych tygodniki młodzieżowe wciąż ogłaszały konkursy na reportaże pokazujące człowieka przy pracy, w otoczeniu współtowarzyszy, jak oni razem drugą Polskę budują. Od klasycznego „produkcyjniaka” z lat powojennych ten typ opowiadań różnił się tylko tym, że zamiast dywersanta pojawiał się biurokrata (najczęściej niskiego stopnia) albo konformista, czasem zwyczajny leń. Młodzi energiczni dawali sobie jakoś z tym radę.

Młodzi, rzutcy ludzie z kart trylogii Siejaka nie robią oszałamiających karier. Nowator Paweł Kaczmarek z „Oficera” nie wdroży wynalazku, wojewoda Roman Ratajczak z „Próby” poczuje do siebie

ZA SZKŁEM

TYDZIEŃ W TELEWIZJI — CO SIĘ PODOBAŁO,
CO SIĘ NIE PODOBAŁO

MARIUSZ WALTER — b. dziennikarz telewizyjny, obecnie producent wideo:

Wiem po tym tygodniu oglądania telewizji polskiej, co dzieje się „W świecie zwierząt”. „Tydzień na działce” przybliżył mi zimowe problemy działkowców, poznałem też „Mit o flecie”. Najmniej dowiedziałem się o tym, co dzieje się w kraju. Jubileusze ośrodków katowickiego i wrocławskiego skłoniły mnie do refleksji nad brakiem trzeciego programu, choć „incydent” z redaktorem Pachą (OTV Wrocław) sprowadził mnie na ziemię. Otóż, kiedy w dwójce ten zasłużony dziennikarz snuł rozważania o telewizji satelitarnej i reklamował paraboliczne anteny, udowodniał, iż właśnie Wrocław miałby szansę na znalezienie się w światowej czołówce telewizyjnej nowej generacji technicznej, w programie pierwszym sypały się magnetowidy odtwarzające program. Technika telewizyjna przeżywa swój najgorszy okres, nie zawiniony przez jej dzisiejszych szefów, więc jeśli my widzowie mamy z tym żyć na co dzień, należy nam się wyjaśnienie.

Wracając do programu, oto moja lista najlepszych:

1. „Rigoletto”
2. „Arka Noego”
3. O 21.30 ze Zdzisławą Guca

8 P O L I T Y K A

NR 1 (1600)

2.I.1988 R.

4. Relacja Jacka Zemantowskiego pow

5. „Jedwabny szlak”

6. „5—10—15”

Dwa słowa o tym ostatnim proś Anna Krajewska, dziennikarka zesp. Radiokomitecie).

Na koniec o programie najgorszym „Zmienników”. Może czasem warto riał na półce — niż emitując go, por. P.S. Konia z rzędem temu, kto uzalumbie nocą.

SZYMON KOBYLIŃSKI — rysownik

Marny mi przypadł okres sprawowane programy wideo. Poza tym rełaniu Fundacji Kulturalnej, która pium oczekujące na datki, najlepiej szą sztukę po świecie. Pytam wszfletnisty symfonicznego przez wszyspo Pendereckiego i Lutosławskiego, ten od lat nic, tylko sławi dobre i biur i grup, czego jaskrawym dowodzyta u Passenta w telewizji panów

Z obcych najświetniej umiejących mieniłbym jakiegoś (boda) Anglika i sens Rembrandta. Tryb objaśnień bezbłądny, a przy okazji po raz stumusi głosić żadnych manifestów i ciężko i fachowo pod wstępny wasza program należała, jak zwykle.

BOHDAN CZESZKO — pisarz:

W sztuce Feliksa Falka „Węzeł” rza Kutza denerwowała mnie jedna

obrzydzenie i znacznie robić jedno świństwo po drugim, bo ma nadzieję, że go w końcu władza zwierzchnia wykopie, ale okazuje się, że mu wolno więcej niż sądził i dlatego ratuje się obiędem. Największą klęskę ponosi Stefan Zandecki z „Pustyni”. Mógłby być bohaterem pozytywnym, a skończył fatalnie. Ludzie, których chciał uszczęśliwić wywieźli go na taczkach, kiedy nastąpił czas wyrównywania krzywd. Dlaczego właśnie jego?

Oto inżynier Stefan Zandecki. Urodzony w Poznaniu, dobiega do trzydziestki, słabo pamięta czołgi koło „Cegielskiego”. „Średni blondyn rasy nizinnej” — jak sam siebie ironicznie scharakteryzuje. Pochodzenie raczej plebejskie, sam musiał wszystko zdobywać „tymi rękami”. Nie pije, nie puszcza się, pomijając epizod z ponętą towarzyszką z komitetu miejskiego. Od paru lat pracuje w Zakładzie Techniki Odnowy i Wykorzystania Środowiska Naturalnego w „miasteczku pięknym jak Eden”, istotnie, jest jakiś lasek i jezioro. Zaczynał w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, bliżej końca. Zawsze lubił budować. Dla tej idei czasem udawał, że nie dostrzega przejawów zła. Więc jeśli był konformistą, to tylko w imię racji nadrzędnych. Nadszedł jednak czas kwestionowania owych „wyższych celów”.

Powieść rozpoczyna się o świcie, w poniedziałek, jesienią 1980 roku. Inżynier Zandecki, od niespełna

roku zastępca dyrektora do spraw technicznych, szykuje się do roboty. Zona zostaje w łóżku, gdzieś obok siodko śpi dziecko. Radio informuje o zawarciu „milton osiemset tysięcy sto dwudziestej pierwszej umowy społecznej” i jest ogólnie radośnie i rześko, albowiem „my, Polak z Polakiem, zawsze się dogadamy i buzi damy na cacy i tylko czas nam po glacy do rymu da, gdy się okaże nasz sen prawdziwszy przy imadle, sierpie i miocie”. To podrażniona świadomość inżyniera w ów wstający dzień „bez nadziei na lepsze jutro” tak zniekształca radosne komunikaty.

Siejak pokazuje, jak łatwo przechodzi się z jednej paranoi w drugą paranoję. Tak się nieszczęśliwie składa, że w „miasteczku pięknym jak Eden” liderami nowego ruchu zostają ludzie z fatalną opinią, w każdym razie inżynier Zandecki zna ich od jak najgorszej strony. Kradli i oszukiwali, a teraz są bezkompromisowi i odważni. Dyrektorzy zmienili front, zaczynają się podlizywać robotnikom, szybko przyswoili sobie parę nowych słówek, bełkoczą nadal, ale teraz dostają brawa. Od gonięcia do pracy — jak się okazało nie zawsze sensownej — był inżynier Zandecki i na nim skupi się gniew ludu umiejętnie podjudzanego przez tych, którym najbardziej dał się we znaki.

„Pustynia” kończy się sceną bardzo przynębiającą: odbywa się zebranie założycielskie nowego zwią-

ku. Zgromadzenie zamienia się w dziką awanturę, poczucie siły wydziała agresję, konflikt zostaje zredukowany do poziomu biologicznej nienawiści. Argumenty racjonalne przestają się liczyć, tłum owacyjnie przyjmuje nawet wystąpienie dyrektora zjednoczenia, który ma kilka kłopotliwych sloganami o szacunku do klasy robotniczej.

Inżynier Zandecki wraz z dwoma „lotrami” po bokach zostanie wywieziony na taczkach. Nie broni się, nie protestuje, jeszcze słyszy, że koła skrzypią, źle naoliwione...

Z pewnością znajdują się czytelnicy, którym ta scena nie spodoba się, a przez to całą książkę mogą odrzucić. Bo autor burzy pewien mit. Byłoby jednak krzywdą dla pisarza takie uproszczone tłumaczenie finału „Pustyni”. Siejak nie chce być ani „za”, ani „przeciw”. Pokazuje tylko sytuację bardzo prawdopodobną — oto jest chwila przełomowa, ale nikt nie da nam gwarancji, że teraz zwyciężą ci, którzy powinni zwyciężyć. Mówi, że w walce o „lepszą przyszłość” ofiarami bywają także najlepsi. I może również pokazuje klęskę racjonalisty wierzącego uparcie, że wystarczy, by każdy robił swoje, a sukces kiedyś nastąpi.

Gdzie jest dzisiaj inżynier Stefan Zandecki?

Tadeusz Siejak: Pustynia. Iskry 1987, nakład 10 tys. egz., s. 334, zł 300,-

z pojedynku Kasparow — Kar-

ramie. To wydanie przygotowała

polu „5—10—15” (bliżej 20 lat w

n, zenującym. O ostatnim odcinku

stracić — zostawił nieudany se-

posiść jeszcze większe straty.

zasadni pokazywanie serialu o Ko-

asadni pokazywanie serialu o Ko-

asadni pokazywanie serialu o Ko-

asadni pokazywanie serialu o Ko-

asadni pokazywanie serialu o Ko-

asadni pokazywanie serialu o Ko-

— ten mydłkowaty pisarz, przybysz z innej planety, z innych spraw, innych krajów, innych problemów; postać, która autorytatywnie nas pouczała z ekranu (może to miał być zakamuflowany Miłosz, ale jak na Miłosza to za głupio przemawiał). Naszych problemów nie jest w stanie zrozumieć nikt z zagranicy. Ludzie, którzy przyjeżdżają, nie kontaktują z tą rzeczywistością, nawet jeśli są to Polacy, których jednak od naszych spraw dzieli zbyt duży dystans czasu. A pouczanie ex cathedra jest denerwujące. Nie lubię w ogóle, gdy ktoś mnie poucza, a zwłaszcza, gdy robi to jakiś mydłek.

Druga postać w tym dramacie polityczno-moralnym — gospodarz; jak zrozumiałem decydujący uwikłany w sprawy polityki, który mówi, że ma ręce czyste. Co to znaczy? Że nikogo nie zamordował? Że nie spowodował żadnego procesu? Owszem, w czasach stalinizmu można było być niezaangażowanym w sprawy polityczne, w procesy polityczne. Można było stać z boku. Chociaż każdy człowiek świadomy był uwikłany samą swoją obecnością psychiczną. I tłumaczenie tego człowieka, który w tych latach pięćdziesiątych pracował, był — tak jak ja go sobie rekonstruuje — zaangażowany w politykę, jest fałszywe i naiwne.

Z jednej strony człowiek, który się broni przed tym, co zrobił, z drugiej strony sędzia, który przybywa i wydaje mu się, że ma prawo do ocen. I jeszcze ta niewiasta, która budzi we mnie wątpliwości — ale tym razem już ściśle moralne.

STANISŁAW KWIATKOWSKI — dyrektor Centrum Badań Opinii Społecznej:

Bardzo podobał mi się kolejny pokaz menażerii państwa Gucwińskich. Jestem także pod wrażeniem jednego ruchu kadrowego w najważniejszym biurze. Dobre i to.

Przez cały tydzień dużo mówiono o ludziach wysokich lotów (w relacjach z kongresu ZSP i ze spotkania młodych mistrzów techniki). Może wreszcie przyjdzie czas dla orłów. Jak na razie mamy orła w godle narodowym i paru siedzących pod godłem. Wokół pełno niemych strusi i gąskania domowego plectwa.

wyreżyserowanej przez Kazimie-

właściwie rzecz — zasadnicza